Nr. 5. Lwów, — 1894 r. Wydawnictwa Rok XVII.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 8. i 23 każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p t. **Wesoły Kurjerek** wychodzące dwa razy na miesiąc, 1. i 15., oraz osobne powieściowe co miesiąc **Dodatki.** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **dodatkami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Kazimierz Zalewski.

(Rysowane z warszawskiej fotografji M. Puscha. — Patrz artykuł pod tym samym tytułem).

Od Redakcji.

Numer 6, **pamiątkowy** *Gońca i Iskry* wyjdzie [illegible] kwietnia i obejmować będzie ośm stronnic illustracyj poświęconych **stuletniej rocznicy Kościuszkowskiego powstania.** Druk premji przedstawiającej **Hetmanów polskich aż do Kościuszki**, rozpoczyna się niebawem, i również premia ta rozesłaną będzie wszystkim prenumeratorom w kwietniu. Dokończenie „Balu dobroczynego“, będzie w następnym numerze, w którym też rozpoczniemy druk nowej powieści: ***Zemsta.***

Od Administracji

ważne wyjaśnienie dla pp. prenumeratorów.

*Zawiadamiamy szanownych prenumeratorów, że tylko ci otrzymają premię bezpłatną: **„Wizerunki Hetmanów polskich aż do Kościuszki“**, rycinę dużą ścienną, którzy nadeślą zaległą prenumeratę i wyrównają bieżącą. Prosimy więc o jak najrychlejsze odesłanie zaległych i bieżących prenumeracyjnych należytości. Uprzedzamy o tem, aby uniknąć nieporozumień.*

Kazimierz Zalewski.

(Do portretu).

Donosiliśmy już w poprzednim numerze o 25-letnim jubileuszu Kazimierza Zalewskiego. Obchodzono go w zeszłym miesiącu uroczyście w Warszawie w szerokiem gronie literatów i artystów. Na jubileuszowym bankiecie wypowiedziano mnóstwo mów i, gdyby je razem zebrano i w jednej książce wydrukowano — złożyłby się, niezawodnie, jeżeli nie dokładny wizerunek literacki Zalewskiego, to, przynajmniej, główne, charakterystyczne rysy jego talentu, tendencyj i cech pisarskich, łatwoby w tem odnaleść można.

Nie piszemy tu studjum literackiego, w właściwem tego słowa znaczeniu, bo na to, przedewszyskiem, zakres czasopisma nie pozwala — lecz spełniając obowiązek dziennikarski, podajemy w dzisiejszym numerze wizerunek znakomitego komedjopisarza, którego dzieła nie są przelotnemi efemerydami scenicznemi, lecz pozostaną na zawsze w literaturze. Pomijając pierwsze jednoaktowe komedje, jak *Wycieczka za granicę* i *Bez posagu*, pisane lat temu dwadzieścia pięć — w szeregu dalszych prac, Kazimierz Zalewski tylko w dwóch pracach większych rozmiarów dotknął życia ze strony, że się tak wyrazimy, krotochwilnej — mianowicie w *Lisie w kurniku* i w przewybornej lekkiej komedji: *Oj mężczyźni — mężczyźni!* — we wszystkich zaś innych pracach sięgał głęboko, chwytał sytuacje społeczno-towarzyskie na gorącym uczynku, jak: *Nasi Zięciowie*, *Górą nasi*, *Friebe*, odtwarzał silnymi i śmiałymi rysami moralną i obyczajową fizjonomję naszego społeczeństwa, jak *Artykuł 264*, *Pani Podkomorzyna*, *Dama trefiowa* i *Spudłowali*, lub zapuszczał skalpel w duszę ludzką, jak *Marco Foscarini*, *Prawa serca* i wreszcie, ostatnia fantastyczna komedja: *Jak myślicie.* Na wszystkich zaś dziełach Zalewskiego przebija się indywidualny spokój autora, jego harmonja duchowa, głęboka wiara w ideały naszego społeczeństwa i również głęboka wiara w skuteczność uczciwej pracy dla celów ogółu. Tych znamiennych cech Zalewski niepozbywa się nigdzie i widnieją one, nietylko w ogól-

nej tendencji, lecz i w kreślonych po mistrzowsku postaciach tej, lub innej komedji, albo dramatu.

Kazimierz Zalewski pochodzi z Płocka, zkąd się wywodzi jego rodzina i gdzie ojciec komedjopisarza, Stanisław Zalewski, był adwokatem, dopóki się później nie przeniósł do Warszawy, w której zajął jedno z najbardziej wybitnych miejsc wśród polskiej palestry. Matka komedjopisarza, Wołowska z domu, jest typem żony i matki polki, a gdy w wypadkach 1863 r. mąż jej skazany został na Sybir, żona towarzyszyła mu dobrowolnie na wygnaniu, na które również skazany został rzetelnego patrjotyzmu, głębokiej nauki i wielkiego rozumu senator ś. p. Wołowski, dziad po kądzieli Kazimierza Zalewskiego. Dzisiejszy nasz jubilat, jest stosunkowo jeszcze młodym, bo jeśli się nie mylimy, nie mając pod ręką źródłowego jakiego podręcznika, pięćdziesiątka może mu zajrzała, lub zagląda dopiero w oczy.

Kazimierz Zalewski po skończeniu gimnazjum, wstąpił do nniwersytetu i ukończył w Warszawie fakultet prawny ze stopniem naukowym odpowiadającym tutejszemu tytułowi doktora praw. Odbył praktykę sądową i zapisał się w poczet warszawskich adwokatów, ale praktyki obrończej nigdy nie prowadził i później studjom prawniczym już się nie poświęcał, oddawszy się całkowicie zawodowi dramatycznego pisarza i dziennikarstwu. Od lat mniej więcej dwudziestu, Kazimierz Zalewski, jest naczelnym redaktorem i właścicielem warszawskiego *Wieku*, pisma codziennego, zajmującego bardzo poważne stanowisko w naszem dziennikarswie i posiadającego szerokie koła czytelników. W bieżącej krytyce i estetyce dramatycznej i w sprawach teatralnych, Kazimierz Zalewski jest powagą. — Ożeniony z Zofją Olszewską córką obywateli ziemskich z Piotrkowskiego, jako ojciec i syn oddany jest rodzinie, w której sędziwi rodzice Kazimierza zajmują patrjarchalne miejsce. Niezawisłego położenia materjalnego i majątkowego, jakie otrzymał z rodzinnych stosunków — użył Kazimierz Zalewski dla rozwoju siły swojego znakomitego talentu, a ten znowu cały oddał na usługi polskiej literaturze i najrdzenniejszym interesom polskiego społeczeństwa.

Komu masz wierzyć!

Nie wierz synu, gdy ci prawią,
Że świat cały pełen brudu, —
Oni twoje serce krwawią,
Byś nie zdążył śród walk, trudu
Tam, gdzie wielkiej prawdy słońce,
Tam, gdzie złożył Bóg jedyny
Ziarno dobre. — Fałszu gońce
To zwątpienia są gadziny. —
Oni pragną wydrzeć kwiatu
Woń czarowną, zmącić zdroje,
Zedrzeć barwę z ust szkarłatu,
Spodlić — zabić — życie twoje!

Nie wierz synu w owo plemię,
Które głosi, że świat cały
Tylko kłamstwa dźwiga brzemię,
Więc go rozbić masz w kawały.

Oni pragną zabić w tobie
Wiarę — czucie — zapał święty,
Oni pragną, byś i w grobie
Bez nadzieji legł wyklęty...
Oni kłamią. W to wierz dziecię,
Że są jeszcze dusze czyste,
Że jest zawsze Bóg na świecie;
Że są prawdy wiekuiste!...

Adolf Walewski.

Od ręki.

= Walne zgromadzanie Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie.

Szkoda, że na niem nie było niedziennikarzy — przekonaliby się, jak we własnych oczach widzimy belkę, choć tam czasem i źdźbła nie ma. To dobrze świadczy, choćby tam i co nie tak było, jak być powinno.

Na tem zgromadzeniu przyjęto zaprojektowane zmiany do statutu, potwierdzono sprawozdanie z czynności wydziału i kasowe, uchwalono wydawanie gazety wystawowej podczas trwania wystawy, która będzie jej organem i nareszcie przyjęto wniosek p. Ostaszewskiego-Barańskiego, aby mając na celu bliżej nas obchodzące sprawy, zwoływano częste poufne towarzyskie zebrania, któreby nas wzajemnie do siebie zbliżały.

Po zamknięciu obrad, które w sali ratuzowej trwały od 10. z rana do 3. południa, uczestnicy udali się do jednej z pierwszorzędnych restauracyj na wspólny obiad.

= Kronika żałobna.

Gdy śp. August hr. Cieszkowski obchodził swój 50 letni jubileusz w roku zeszłym — zamieścilismy w piśmie naszem wizerunek dostojnego jubilata i artykuł o nim. Dziś, zaledwie kilka miesięcy minęło, musimy już zapisać śmierć tego męża, którego imię pozostanie na zawsze w literaturze. Śp. August Cieszkowski umarł w Poznaniu przeżywszy lat przeszło ośmdziesiąt. Tak pisaliśmy nie dawno o zmarłym prezesie poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, że dziś w obec dopiero co zamkniętej mogiły wyrazić nam pozostaje, jedynie, głęboki żal z powodu zgonu męża, który był zaszczytem polskiego narodu.

W Turynie zgasł starzec 92 letni, którego imię znał cały świat i którego za stałość przekonań i miłość nieograniczoną dla swego narodu, czcili nawet jego polityczni nieprzyjaciele. Umarł Ludwik Kossut. Prawda, że człowiek ten dożywszy późnej starości, zrobił wszystko co mógł i wypowiedział wszystko, co chciał — fizycznie i politycznie już tylko dogorywał — ale w dzisiejszych Węgrzech — w dziejach nawet ludzkości działalność Kossuta, jako męża politycznego i patrjoty, zapisana będzie złotemi głoskami. Nawet to, na co się z dyktatorem węgierskim godzić nie można — było w Kossucie czyste i robione z dobrą wiarą. Naród polski — w osobie Kossuta traci prawdziwego i bezwarunkowego przyjaciela...

Prawie nagle, bo po kilkodniowej chorobie, umarł w Wiedniu prezes Koła polskiego śp. Atanazy Benoe. Głośnego stanowiska w społeczeństwie nie zajmował i nie zdążał też do niego, nie ubiegając się zupełnie o popularność. Z zawodu ziemianin, właściciel bardzo obszernego majątku, śp. Benoe mógł i nie oglądał się na to, co mówią, tylko na to, co robią. Konserwatysta *pur sang* i wyznawca zasad politycznych margrabiego Wielopolskiego, umiał poświęcić osobiste zapatrywanie dla sprawy ogólnej i w wypadkach 1863 r. brał czynny udział. Prezesem Koła polskiego był zaledwie kilka tygodni — nie ulega, jednak, wątpliwości, że byłby na tem stanowisku oddał naszym interesom nie małe korzyści, bo był sumienny, kierował się zimnym rozumem w polityce i był prawym polakiem. Mandat poselski do Rady Państwa piastował od dłuższego czasu. Przeżył lat około 70.

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Dokończenie — patrz Nr. 4.)

Dora teraz dopiero pojmować zaczęła, jak straszne skutki pociągnął za sobą jej pobyt u doktora. Przytuliwszy się do markiza, schwyciła obie jego ręce i ściskając je gwałtownie, wstrząsana dreszczem trwogi mówić zaczęła szybko, bezładnie:

— To się stać nie może... do tego dojść nie powinno!... Nie, to niepodobna! Pietro, ty temu przeszkodzisz... przeszkodzić musisz!

Łzy popłynęły jej z oczu.

— Chodźmy, chodźmy — czas wracać!...— rzekł poważnie Sagora, ujmując dłoń Germany.

— Wszak mogę na ciebie rachować? — zapytał Marko głosem zupełnie spokojnym, nie ledwie, że wesołym

— Rzecz prosta.

— Ależ tego nie będzie potrzeba!... — wołała z rozpaczą Dora, ze złożonemi rękami patrząc na Germanę. — Pan życia swego na kartę stawiać nie możesz! Czynić ci tego nie wolno! To życie nie twoją wyłącznie stanowi własność, lecz ogółu, całej ludzkości, której jesteś chlubą. Oh, przy rzecz mi, daj słowo, że pojedynkować się z Lambertem nie będziesz! On w całym pułku jest najlepszym strzelcem i fechmistrzem, on zabiłby pana, a wówczas...

Zamilkła. Rozpacz i miotający nią niepokój nie zdołały w niej stłumić poczucia kobiecej godności, nie dozwalającej na wyjawienie tego, co jej pierś rozpierało. Marko i Pietro wpatrywali się w nią obydwaj, choć każdy z nich z innym wyrazem twarzy: ostatni ze współczuciem, pierwszy z nieograniczoną miłością.

— Uspokój się, pani — przemówił Germana. — Życie człowieka nie leży w mocy przeciwnika, lecz zależy od woli Boga. Stanie się, jak On zechce. Nie przeczę, że przez wzgląd na ciebie, pani, byłbym wolał uniknąć tego, co zaszło, lecz obecnie cofnąć się to już nie da.

— Nawet, jeżeli panu powiem, że śmierć twoja i moje życie zwichnęłaby na zawsze?...

Nastała chwila ciszy. Sagora cofnął się o krok w najwyższem zmieszaniu; markiz zatopił w rozpromienionej twarzy dziewczęcia wzrok pełen niewysłowionej wdzięczności i uwielbienia.

— Nawet wtedy, pani, żadna już dłoń nie cofnie tego, co się stało. Jeden z nas paść musi...

Przed oczyma Dory wszystko wirować zaczęło, bezwładnie opuściła ręce i zemdlona osunęła się na ziemię.

Dopiero zaledwic w godzinę potem mógł markiz del Sagora kuzynkę swoją odwieść na zamek, gdzie przyjął ich na frontowych schodach hrabia Giovanni, przez swego syna o wszystkiem już powiadomiony.

X.

Straszny był to dzień i straszna noc dla Dory. Późnym już wieczorem słyszała, jak zajeżdżali przed zamek obcy jacyś panowie; domyśliła się łatwo, iż byli to sekundanci Lamberta, po których młody ofi-

cer telegrafował natychmiast po zajściu. Dora w ciągu całego dnia, oprócz Pietra Sagory nikogo w swym pokoju przyjmować nie chciała, nawet swojej matki. Pietro, jako we wszystko wtajemniczony, wydawał się jej jedynym człowiekiem, mogącym w tem nieszczęściu współczuć; ale, niestety — i on pocieszyć jej, uspokoić nie był w możności. Godziny wlokły się leniwie, powoli, jak nigdy; po dniu chmurnym nastąpił wieczór posępny, bez gwiazd, a dalej noc, której ciszę bezustannie przerywało wycie i jęczenie wichru. We wspaniałym, zamkowym przedsionku, tudzież na schodach ciągle płonęły lampy, które zazwyczaj o północy gaszono. Przez mleczne szyby drzwi wiodących do pokoju Dory, padały na ścianę półokrągłe blaski; wpatrzona w nie osłupiałemi oczyma, biedna dziewczyna była bliską obłędu. Z rękami kurczowo zaciśniętemi, sercem głośno bijącem i ustami machinalnie powtarzającemi jedne w koło słowa modlitwy, oczekiwała ona poranku w stanie nie dającym się opisać! Ani jęku, ani łzy wydobyć z siebie nie mogła; chwilami zdawało się jej, że powinna umrzeć; ogarniało ją zdziwienie, że tyle cierpiąc, jeszcze żyje... Słyszała, jak przez sen krzątanie się po korytarzach, stłumione rozmowy, a gdy na koniec nadszedł świt tego dnia okropnego, który dla Germany mógł być ostatnim, turkot zajeżdżających powozów wywołał na jej czole zimny pot. W młodocianem, niewinnem jej sercu, miłość do Marka rozwijała się powoli, niepostrzeżenie, z pierwotnej fazy lekceważenia, jakiem tak boleśnie go uraziła, przechodząc kolejno w uznanie, szacunek i uwielbienie. Jak silnie go kochała — o tem przekonała się naprawdę dopiero tej nocy, w niewypowiedzianych przepędzonej męczarniach. Jej dawna duma, niedostępność, przesądy rodowe, które w nią wpojono od najwcześniejszego dzieciństwa, wszystko to znikło, stopniało pod ożywczymi promieniami gorącego, szczerego uczucia.

Dora wiedziała, co znaczy ów złowrogi turkot dwóch pojazdów.

Wyskoczyła z łóżka i zarzuciwszy na siebie tylko lekki szal koronkowy, stanęła w otwartem oknie i z poza gęstej przejrzystej firanki, wyjrzała na dziedziniec.

Poranek był chłodny, wilgotny, wietrzny, zapowiadający bliskość surowej zimy.

Do każdego z dwóch powozów, stojących przed schodami, wsiadło po dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Lambert; trzech innych nie znała Dora wcale. Gdy woźnica zaciął konie, młody hrabia Giovanni rzucił okiem na okno jej pokoju. Odjechali — Sagora wcześniej widać udać się musiał do Marka, lub może u niego nocował...

Dora stała jeszcze czas jakiś przy oknie z kurczowo zaciśniętymi palcami; nakoniec, gdy mroźny wiatr do szpiku kości ją przejął, cofnęła się i przypadkiem spojrzawszy w zwierciadło, stanęła zdumiona, sama siebie nie mogąc poznać, tak była zmienioną.

— Ochroń go, Madonno, od wszystkiego złego!... — jęknęło dziewczę, padając na kolana przed obrazem Bogarodzicy.

Germana poprzedni dzień cały przepędził w samotności. Osłabienie i apatja, które go męczyły od pewnego czasu, ustąpiły tym razem gorączkowemu jakiemuś podnieceniu. Uporządkował swoje papiery, notaty, napisał długi list, zapieczętował go, zaadresował i przywołał Elię. Dziewczyna weszła do pokoju krokami cichymi, jak widmo, — prawie bez szelestu. Wiedziała ona o wszystkiem, co zaszło i, co dalej zajść miało, zachowywała, jednak, pozory zupełnego spokoju, tylko przerażająca, sina jakaś bladość zdradzała prawdziwy stan jej ducha.

— Siadaj — rzekł Marko łagodnie i ze słodyczą, jakiej poprzednio nigdy względem Eli nie używał, z obawy podsycania w niej uczuć, na które zwrócił mu niegdyś uwagę Pietro. Dziś, po raz ostatni może z nią rozmawiając, nie umiał być dla niej zimnym.

Elia usiadła. Chorobliwym blaskiem jaśniejące oczy utkwiła w twarzy swego pana, oczekując rozkazów. Marko zawahał się trochę, nim mówić zaczął:

— Gdyby mnie jutro spotkało co złego, jeżelibym do domu nie wrócił, to Elio, domek ten i cały mój dobytek, jak również i pieniądze, które znajdziesz w biurku — na twoją przejdą własność. Nie jest to zbyt dużo, dla ciebie samej, jednak, starczy o tyle, że nie będziesz potrzebowała szukać innej służby, ani nadwerężać słabych sił nadmierną pracą. Dbaj o swoje zdrowie i pozostań zawsze taką, jaką dziś jesteś: uczciwą i dobrą dziewczyną.

Elia milczała; pierś jej podniosła się szybkim oddechem, wzrok miała utkwiony w podłogę.

— Mam prośbę do ciebie — rzekł po chwili Marko — wiele mi zależy na tem, ażebyś ją wiernie wykonała, Oto list do hrabianki Dory. Weź go teraz do siebie i w razie czego, oddaj jej do rąk własnych, ale tak, aby o tem nikt nie wiedział, aby o jego istnieniu, prócz ciebie, ona jedna tylko wiedziała.

Elia, biorąc list, drżała, jak liść osiki; na bladej jej twarzy malowała się straszna walka wewnętrzna.

Germanie żal jej się zrobiło; spostrzegł, iż jest okrutnym.

— Widzisz — rzekł, tłomacząc się — zadanie to mógłbym powierzyć markizowi Sagorze, ale nawet jemu nie ufam tak bezgranicznie, jak tobie. On mógłby się niepokoić o zdrowie, o wrażenie kuzynki i list zachować u siebie, przynajmniej na czas jakiś długi... a ja wolałbym... Wszak nie odmówisz mi tego?

Elia milcząco skinęła głową i podniosła do góry dwa białe przezroczyste palce prawej ręki na znak przysięgi, poczem ukryła list za gorsem.

— A teraz, moje dziecko, idź spocząć — już późno. Chcę jeszcze chwilę samotności użyć, a niebawem zapewne markiz tu przyjedzie.

Elia, posłuszna, wstała i chwiejnym krokiem zbliżyła się do drzwi, aż naraz głośnym wybuchnąwszy łkaniem, przypadła napowrót do Marka i rękę jego gwałtownie do ust przycisnęła. Marko nad wszelki wyraz wzruszony, złożył na jej czole ojcowski pocałunek, poczem dziewczyna, hamując wybuch żalu, pospiesznie pokój opuściła.

— Biedactwo! — pomyślał doktor, spoglądająa za nią. — Zaledwie kilka miesięcy życia jej pozostaje — suchoty już na dobre rozwinęły się u niej... Choćby mnie nie stało, będzie, przynajmniej, miała schronienie i środki przeciw nędzy.

W pół godziny potem przyjechał markiz del Sagora, z oznajmieniem, że wszystko jest w porządku; o świcie przybyć ma drugi świadek Germany z pobliskiego miasta, dobry znajomy obydwóch przyjaciół, i przywiezie ze sobą pistolety. Germana od czasów studenckich żadnej broni nie miewał w ręku, a i dawniej także, poważnemi zajęty studjami, rzadko bardzo, jak w ogóle wszelkim rozrywkom, oddawał się fechtunkowi i strzelaniu.

Paląc cygara, obecne i dawne wspominając czasy, przesiedzieli przyjaciele noc całą w pracowni doktora i tak doczekali się bladego poranku, którego z taką trwogą na zamku wyczekiwała Dora.

Niemiłosiernie wolno upływały chwile, zwiększając ciągle miotający nią niepokój.

Naraz, zdaleka ucho jej pochwyciło turkot powozu. Jednym skokiem przypadła do okna. Wracał tylko jeden pojazd, siedziało w nim trzech mężczyzn; w głębi z zapalonem cygarem w ręku Lamberto; okok niego i naprzeciwko dwóch jego przyjaciół, trzeciego zaś nieznajomego nie było. Dora niby jasnowidzeniem odgadła, że tym trzecim jest doktor, a brak jego oznacza, że jest potrzebny — tam...

A więc — stało się. Zabito człowieka, który miał przed sobą tyle do zdziałania w świecie, dla którego życie nie było żartem, ani farsą. Wydarła mu byt dłoń mordercza, ktorej czynu tego nikt nie weźmie za złe, bo wszak od wieków uświęcone prawa honoru, nietylko usprawiedliwiają, lecz aureolą bohaterstwa wieńczą skronie takich zbrodniarzy... I oto pozostał światu marny błazen, umiejący tylko dzielnie strzelać i dobrze wymachiwać szablą, a rycerskich tych talentów używający tylko na krzywdę i szkodę ludzkości; — ubył zaś człowiek szlachetny, prawy, potrzebny — dlatego jedynie, że praca dla dobra ogółu nie dawała mu czasu na wprawę w rozrywki sportowe — nie umiał się bronić...

Cała naga prawda, cała zimna ironja spełnionego faktu rzuciła się Dorze w oczy, druzgocąc jej serce swą nieubłaganą siłą. Cofnęła się od okna z dojmującym krzykiem istoty obłąkanej.

Służba, wpadłszy do pokoju, zastała ją leżącą na podłodze bez zmysłów.

Chorowała potem długo, niebezpiecznie; z okolicy i z dalekich miast posprowadzano do niej najlepszych lekarzy. Lamberto zaraz po pojedynku zamek opuścił, wiedział, że Dora, choćby nie umarła — jest straconą dla niego na zawsze. Rozchwiał się piękny plan, uknuty przez rodziców.

Na placu spotkania rzecz odbyła sie pospolitym trybem. Po trzykrotnej wymianie kul, Germana padł celnie ugodzony. Zdawało się, że został na miejscu zabity po lekkiem, jednak, biciu serca, lekarz rozpoznał, że jest to tylko zemdlenie. Przeniesiono rannego do szpitala, jakby na stwierdzenie słów jego, które kilka dni temu, trafnem natchniony przeczuciem, wyrzekł do Sagory: »może ja sam będę w tym szpitalu pierwszym pacjentem«...

Pietro od jego łoża na krok nie odstępował; łudził się przez dzień cały, że gorąca przyjaźń, troskliwość i starania braterskie, jakiemi Marka otaczał, zdołają w nim zatrzymać ulatującego ducha. Lecz, gdy wieczór, jak gdyby współczując żałobie, mającej zaciężyć nad okolicą, ciemniejszym i posępniejszym, niż kiedykolwiek kirem

przysłaniać zaczął bory i wzgórza poblizkie, Marko z imieniem Dory na ustach, wydał ostatnie tchnienie...

To nie on jeden — wielu tak pada, wielu, obdarzonych duchem Tytanów, nie dokonawszy, ani w części zadania przeznaczonego swym siłom, ginie tak młodo i tak bez celu. Ku własnej szkodzie marnuje ich świat i dzikie jego prawa.

KONIEC.

SONET.

Bądź mi nietylko bóstwem, dziewczę złotowłose
Do którego się modlę w chwili rozmarzenia,
Nietylko mym aniołem — wyżej cię podniosę,
Bądź wspólniczką mych myśli, mojego natchnienia.

Nietylko wśród całusów myśmy połączeni,
Nietylko, gdy cię tulę w namiętnem objęciu,
Nietylko, gdy nas miłość w jedną istność zmieni...
Lecz i wtedy, gdy śpiewam w uroczem natchnieniu!

Bądź mej myśli podnietą, słonecznem promieniem —
Myśl twa z moją spolona w jednotę, niech zrywa
Maski obłudy z ludzi... niech prawdę odkrywa!

Myśl twa niechaj będzie mej myśli ożywczym płomieniem
I niech mnie poprowadzi w krainy zachwytu — — —
A wtedy pieśnią moją sięgnę do nieb szczytu!

Zdzisław.

Ciekawe rzeczy.

Ze statystyki w Stanach Zjednoczonych. Z najnowszych dat tyczących się ilości katolików w Stanach Zjedn. zebranych w ostatniem wydaniu „Hoffman's Catholic Directory" wyjmujemy następujące: Hierarhia obejmuje 88 arcybiskupów i biskupów. Jest 9 717 księży, opiekujących się 14.733 kościołami i kaplicami; 3.533 seminarzystów; 779 szkół wyższych; 3.732 szkół parafjalnych; 238 domów sierot, w których mieści się 29.526 sierot; 753 innych zakładów dobroczynnych. Dzieci uczęszczających do zakładów katolickich jest 860.356, liczba zaś wszystkich katolików zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, ma wynosić 8.902.033.

Teatr — koncerta — widowiska.

Zmiana w dyrekcji lwowskiego teatru.

Dyrekcję lwowskiego teatru w tych dniach objął p. Zygmunt Przybylski znany i utalentowany komedjopisarz. Przedsiębiorstwo prowadzić będzie p. Przybylski z p. dr. Henrykiem Szydłowskim. Pan Mieczysław Schmitt, dotychczasowy dyrektor teatru lwowskiego, ustępuje. Na razie zapisujemy, jedynie, fakt zmiany dyrekcji teatru lwowskiego uważając go za bardzo ważny i doniosły w naszych stosunkach literackich, artystycznych, a nawet społecznych. W tej nowej sytuacji, trzeba się rozejrzeć uważniej i bliżej. W tej chwili, gdy to piszemy, tyle powiedzieć trzeba, że, aby przywrócić harmonję pomiędzy dyrekcją teatru lwowskiego, a światem dziennikarskim i literackim, bez czego żaden teatr i nigdy pożytecznie dla ogółu i korzystnie dla siebie pracować nie może — odpowiedniejszego dyrektora w naszych stosunkach, nad pana Zygmunta Przybylskiego życzyć sobie nie można.

Jak się ukształtowały finansowe interesa lwowskiego teatru, o tem nie wiele wiadomo, a tego, co się krzyżuje w powietrzu, powtarzać nie warto. W spółce pozostał p. dr. Henryk Szydłowski.

Zmiany, naturalnie, będą i być powinny, ale powolne i stopniowe, — i te odegrają ważną rolę na przyszłość.

Pan Zygmunt Przybylski, objął dyrekcję, właściwie, d. 2. kwietnia i tego też dnia odbyło się *pierwsze* przedstawienie pod jego kierownictwem. Dawano *Damy i huzary* i znaną 1-aktową komedję Blizińskiego: *Ciotka na wydaniu.* Opinja publiczna, wiadomość o objęciu dyrekcji przez pana Przybylskiego, przyjęła z niezwykłą sympatją — toż samo należy powiedzieć o tutejszem i warszawskiem dziennikarstwie. Na tem pierwszem przedstawienia, bardzo licznie zebrana publiczność, zrobiła nowemu dyrektorowi owację, wywołując go, klaszcząc i wołając ze wszystkich stron: „Szczęść Boże!" Dowód to wymowny, czego pragnęła opinja i jakiem uznaniem i sympatją cieszy się p. Zygmunt Przybylski.

Wierzymy w to, że na dobre skutki z pracy i działalności nowego dyrektora długo czekać nie będziemy — ale czekać trzeba, bo, jeśli Kraków nie odrazu zbudowano, to we Lwowie wszystko buduje się daleko dłużej i z większemi przeszkodami...

Tyle na dziś.

Tymczasem, nowemu dyrektorowi: z całego serca szczęść Boże!

Fotografja Jędrusia, którą widzieliśmy po raz pierwszy na scenie w tym czasie. jest ślicznym jedno-aktowym obrazkiem p. Przybylskiego, którego talent posiada pewną specjalność w tworzeniu takich rzewnych, lirycznych, chwytających za serce epizodów z padołu łez i twardego życia... Żonę zapominającego się robotnika, Pawłowę, z uczuciem i z pociągającą prostotą, odegrała pani Stachowiczowa. W zastępstwie p. Kwiecińskiego, odegrał naprędce p. Żelazowski rolę męża, — rzemieślnika ze wszystkiemi znamionami wyższego talentu. Dzielną starą, a poczciwą kumoszką była pani Gostyńska — wybornym chłopakiem z warsztatu p. Walewski.

O jednoaktowej komedji z francuskiego tłomaczonej p. t. *Nawróceni*, tyle tylko powiedzieć możemy, że jest długa i nudna i, że nawet doskonała gra takiej artystycznej pary, jak p. Siennickiej i p. Fiszera, nie była w stanie nic zrobić i usta pomimo woli sznurowały się do... ziewania.

Pomiędzy dwoma powyższemi sztuczkami popisywał się z koncertem na skrzypcach p. Theodorowicz, artysta młody zupełnie, wcale jeszcze nie znany — ale, bez zaprzeczenia, mający przed sobą niezwykłą przyszłość.

Młyn djabelski sztukę czarodziejską z muzyką i ze wszystkiemi melodramatycznemi konfiturami. dawno odpoczywającą w katakumbach teatralnych, odgrzebano na post i wznowiono na naszej scenie, ale jakoś szanowna publiczność na warczenie kół tego *Djabelskiego młyna* nie bardzo nadstawiała uszów i sztuka mimo starannej gry artystów i dobrej wystawy, nie pójdzie długo nawet w niedzielnym po południowym repertuarze.

Prawda! bylibyśmy zapomnieli, że w *Młynie djabelskim* popisuje się jedenastoletnia Sabińcia Zielińska i to aż z Warszawy przybyła popisywać się we Lwowie. Panienka ta robi przyjemne wrażenie — ale pomimo woli nasuwa się pytanie, co będzie robić potem, jeśli w 11-ym roku robią ją „artystką"?

Bajki, najnowsza komedja Bałuckiego w 4. odsłonach, wystawiona na lwowskiej scenie przed samemi świętami, będzie należeć do słabszych utworów wielce utalentowanego komedjopisarza. Gdzieś tam napisano, że Bałucki w *Bajkach* zwrócił się na inne tory, że miał nastąpić jakiś przełom w jego talencie — bajki! gadanie dziennikarskie trzy po trzy!... Bałucki w *Bajkach* posiada wszystkie cechy, wszystkie właściwości swego talentu, tylko komedja ta pisana jest na kolanie, z jakąś nonszalansją autorską — znać, nawet, na tej literackiej pracy pewne zmęczenie. Na mnie *Bajki* Bałuckiego, w ogóle wziąwszy, zrobiły takie wrażenie, jakby je autor pisał wciąż poziewając... Na lwowskiej scenie grano *Bajki* bez zarzutu, chociaż, co prawda, jeden tylko p. Siemaszko w roli Grubalskiego miał pole do popisu, no, i popisał się. Inne role, choć główne — blade i zużyte — grali je panowie i panie: Żelazowski, Gostyńska, Feldman, Siemaszkowa, Chmieliński, Czaplińska, Kliszewski, Chmielińska, Cichocka i Trapszo.

Myszy bez kota nie dadzą się podciągnąć pod żaden rodzaj, czy gatunek utworów scenicznych. Jest to, bowiem, luźne pozlepianie kilku dość jaskrawych, a swoją drogą ogromnie spłowiałych obrazków. „Krotochwilę" tę, jak ją afisz nazywa, napisał p. Jordan (Wieniawski) znany i lubiany, jako autor różnych szkiców obyczajowych z życia wiejskiej szlachty, który próbował sił swoich i jako autor dramatyczny, ale już daleko z mniejszem powodzeniem. *Myszy bez kota*, przedstawione u nas w tych dniach, właściwie, nie powinny mieć, nawet, pretensji do krytyki, bo ta nie ma się o co zaczepić. Krotochwila ta posiada wszystkie cechy anegdotyczne — nie złe to w książce — na scenie, robi się dużo hałasu i nic więcej. Najlepszym w sztuce jest żyd, chociaż kopjowany z mnóstwa takich żydów, których już widzieliśmy — grał go też p. Fiszer przewybornie, bo jakże mogło być inaczej.. Inne postacie, mimo krzykliwości swojej, zużyte bardzo, a grubo, jak na parawan, podmalowane — grali bardzo starannie pp. Jaworski, Siemaszko, Hierowski, Feldman, Walewski, Dębicki i Trapszo, oraz panie: Gostyńska, Czaplińska, Pankiewicz i Otrembowa.

Opera nasza wzmocnioną została — zaangażowano dwie siły: sopranistkę, pannę Miotti, która śpiewała w Medjolanie i tenora pana Zerni-Cwernera, warszawianina, który śpiewał w Turynie. Para ta wystąpiła u nas po raz pierwszy w *Rycerskości wieśniaczej.* Po dalszych występach napiszemy obszerniej — dziś to tylko powiedzieć możemy, że p. Zerni posiada piękny, rozległy i dobrze postawiony tenor najszlachetniejszego stylu, a p. Miotti włada silnym i wysokim sopranem.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Heho w Antwerpji. „Rozkaz wodza" nie będzie drukowany.

Autor fantazji: „Miłość i egoizm" — nie będzie drukowane — za długie i za zwykłe mimo pretensjonalnego tytułu.

F. we L. „Podróż balonem" nie może być w naszych pismach drukowana, choć rzecz cała nie jest bez wartości.

Kazimierz. B Wierszyk: „Ach to sen tylko" zdradza talent, ale radzimy chwytać się głębszych tematów Drukowany nie będzie — prosimy o coś innego.

Od Ekspedycji.

Do dzisiejszego Nru dołącza się **Dodatek** z ogłoszeniami o 4 stronnicach przyczem objaśnia się, że pod tytułem dodatku mylnie jest wydrukowane do Nr. 4. — powinno być **do Nr. 5**go, co niniejszem prostujemy.

DODATEK.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17.